

— Ostatnio występowała pani na scenie gdyńskiego Teatru Miejskiego w monodramie opartym na „Dziennikach” Marii Dąbrowskiej. Dla czego wybrała pani ten tekst? — Wiele razy już opowiadałam jak to się zaczęło. Na jesieni 84 roku pojechałam na Polną po zakupy. Naprzeciwko słynnego warszawskiego bazaru, który wszyscy bardzo lubimy, stoi dom, w którym kiedyś mieszkała Maria Dąbrowska. Miałam dużo czasu, wstąpiłam więc do jej mieszkania, gdzie obecnie znajduje się muzeum i urzekło

„bów”. Muszę przyznać, że nigdzie nie spotkałam takiego opisu przechodzenia przez kanały, jak to zrobiła pani Ginter.

— Czy pani sama adaptuje teksty swoich monodramów?

— Tak. Wybieram to, co mi się podoba...

— Czy lubi pani tę formę wypowiedzi sceniczej?

— To raczej konieczność. Nie przepadam za cudzymi monodramami, a swoje po prostu muszę robić. Kiedy nie mam propozycji ze swojego, albo innego teatru —

Świętojańska bardzo przypomina krakowski Rynek — w ciągu pół godziny spotkałam tam troje dawno nie widzianych przyjaciół.

— Po wielu sukcesach aktorskich przyszedł sukces pisarski...

— Czuję się nim trochę speszona, ale i szczęśliwa. Kiedy oddawałam książkę do druku, nie zdawałam sobie sprawy co naprawdę znaczy: odpowiedzialność za słowo pisane. Oczywiście zachowując właściwie proporcje pomiędzy swoim pisaniem a prawdzi-

ponoszę za nie żadnej odpowiedzialności.

— Pisanie pamiętników, autobiografii jest chyba podobnym ekshibicjonizmem do aktorstwa?

— Zawód aktora jest zdecydowanie bardziej ekshibicjonistyczny, niż najbardziej intymne pisarstwo. W futrynie teatralnej sprzedają nie tylko swoje myślenie (bo przecież choć posługuję się cudzymi słowami, interpretuję je po swojemu), ale i emocje, namietności, mój krzyk, płacz, śmiech... Mimo że to

ście w nową rolę, każda próba jest potworną męką panowania nad wstydem. Wydaje mi się wtedy, że mam czterdzieści osiem nóg, czterdzieści osiem rąk, tyleż dusz i nie wiem co z nimi zrobić.

— Co pani sądzi jako uznana i sławna artystyka o perspektywach i kondycji zawodu aktorskiego w dzisiejszych czasach?

— Moja sława aktorska już minęła i sprawy zawodowe powoli się kończą. O moim pokoleniu powiedziała najlepiej Kalina Jedrusik — „myśmy już byli”. Tylko od czasu do czasu jeszcze podnosimy ręce i mówimy: „hallo, jeszcze jesteśmy, jeszcze żyjemy, jeszcze coś robimy!”. To nowe, co idzie i jest nieuchronne, jakby nas już nie dotyczy i nie obejmuje, ale będąc jeszcze aktywnymi i mimo wszystko zainteresowanymi członkami naszego środowiska, mamy lęki i obawy — jak to będzie z teatrem, z kulturą, skąd weźmie pieniądze i czy ich wystarczy... Sądzę, że sytuacja zmusi wszystkich do wysiłku i ostatecznie ostaną się tylko najlepsi, którzy będą pracować tylko na siebie, a nie na ogromne zespoły chronione etatami. To było niezwykle demoralizujące z jednej strony, ale i fantastyczne, bo dawało pełnię poczucia bezpieczeństwa.

— Czy nie obawia się pani jednak, że wszystko to skłoni się ku niezdrowej komercji i zawodowym aktorom przyjdzie dawać spektakle na ulicach i dworcach?

— Tego naprawdę nikt nie wie. Jedno jest pewne. To co było kończy się, a jakie będzie nowe? Kto jest w stanie przewidzieć? Najpierw musi przejść burza, po niej będzie pokój, jakaś stabilizacja. Sądzę, że ja jej już nie doczekam. Takie procesy muszą trwać długo, aby wszystko mogło się uukrzyć i uładzić.

— Jakie ma pani plany na przyszłość?

— Na razie gram w teatrach Dramatycznym i Współczesnym, wykładam także w Szkole Aktorskiej. Ale jeżeli nie będę miała pracy w teatrze, na pewno zrobię nowy monodram i będę go grała w muzeum, a może właśnie na dworcu...

— Dziękuję za rozmowę.  
DOROTA SOBIENIECKA

# Najwspanialsza samotność

## Rozmowa z Zofią Kucówną

mnie to miejsce. Trzy pokoje, przedpokój, kuchnia, łazienka — zwyczajne mieszkanie zwyczajnych ludzi, ze zwyczajną aurą. Spory salon. Zaczęłam liczyć ile zmieści się tam krzesel. Osiemdziesiąt na pewno. Przypomniałam sobie, że Tadeusz Drzewnowski ciągle jeszcze nie wydał „Dzienników”, nie mogąc przejść przez cenzurę. Dąbrowska przez pięćdziesiąt jeden lat opisywała w nich swoje najzwyczajniejsze życie. Po powrocie do domu zadzwoniłam do niego. Poradził mi, żebym się zwróciła do Muzeum Literatury. Dyrektor Odrowąż-Pieniążek zainteresował się moją ofertą, skierował mnie do kustoszki muzeum Basi Musiałowej i powstał teatr w muzeum.

— Czy nie narzeka pani na brak dobrej literatury kobiecej, którą można by zaadaptować na monodramy?

— Ostatnio, na szczęście, pojawiło się dużo — fascynujące wspomnienia Oli Watkowej, Anny Branickiej, a nawet Marii Ginter „Galopem przez wiatr”. Ta ostatnia o tyle interesująca, że pokazuje pejaż obyczajowy młodzieży przedwojennej, potem okupacji i czasów zaraz po wojnie, czyli pokolenie „kolum-

szukam tekstu i robię własny teatr.

— Samotność aktora w monodramie na scenie wydaje się przerażająca. Bez partzera, scenografii, nie ma się o co oprzeć...

— Partnerem jest słuchacz. Najwspanialsze, które znam lepszego. Tę samotność może być nie wszystko popsuć. Ale to dobry grania. — Kto jest najlepszym scenicznym?

— Odpowiedź mamysiu — Teatr.

— A „niemy” nie oddziałuje przeciwko różni?

— Obserwuję z nią w jakiejś i w jakiejś reakcji. — Proponowaną przez jaką grania. — Kontakt z publicznością... — Była to w Gdyni? — Byłam tu „Batorego”, który był w restauracją. Wyszłam na brzeg chwając się lekko... jednak się kołysała... Dziś poznałam główną ulicę Gdyni. Stwierdziłam, że



Zofia Kucówna

wym pisarstwem, nauczyłam się ogromnie ważnej rzeczy. Słowo, którym posługuję się od trzydziestu pięciu lat na scenie ma inną wagę, niż to przeze mnie napisane. Tamto sobie przyswoiłam i nie

tylko fikcja, sprzedają ją własnym głosem i ciałem. Własnym organizmem. W futrynie księgarni sprzedają również swoje myślenie i swój życiorys, ale bez tej fizyczności. Dla mnie każde wej-